

## LUDWIK KOWALSKI

---

Ppor. Ludwik Kowalski, 42 lata, rewident buchalteryjny, żonaty.

---

10 lipca 1940 r., po zajęciu Litwy przez wojska sowieckie, wszystkich internowanych będących w obozie Kalwaria otoczono strażą i wywieziono do ZSRR. Przez miasto prowadzono nas, jakby na udrękę, z bagażami na plecach, sześć kilometrów do stacji, zaledwie z jednym odpoczynkiem, co równało się nadludzkiemu wysiłkowi i wyczerpaniu, ze względu na to, że na Litwie przebyliśmy już okres dziewięciomiesięcznego więzienia przy lichym odżywianiu. Furmanki, mające zabrać nasze bagaże, władze sowieckie rozpedziły. Na stacji wciśnięto nas do wagonów po 40 osób, przy zupełnym braku powietrza. Na cztery znajdujące się okna, trzy [były] zabite, a jedno otwarte i to tylko poza stacją. Przy 45-stopniowym upale równało się to zupełnemu niemal uduszeniu. Niektórzy z tej przyczyny nabawili się rozedmy płuc. Załatwianie się [odbywało się] po dwóch dniach w polu, pod opieką wściekłych wilczurów trzymany na wodzy i bojca z karabinem gotowym do strzału. Nic więc dziwnego, że wielu załatwić swoich potrzeb fizjologicznych nie mogło. Podczas podróży karmiono nas chlebem, cukrem, konserwą jarzynową i rybami suszonymi, lecz dla zamkniętych bez powietrza ludzi zbawieniem była woda przynoszona w kubkach na oznaczonych stacjach. Po trzech dniach wyładowano nas w Kozielsku. Liczba oficerów równała się przeciętnie ok. tysiąca, plus 800 policjantów, którzy przybyli po nas. Z zapisków pozostawionych przez poprzedników dowiedzieliśmy się, że w tym miejscu do 15 maja 1940 r. było pięć i pół tysiąca oficerów – jeńców, którzy ze Starobielska wywiezieni zostali do Kozielska, a z Kozielska 15 maja 1940 r. wywiezieni w nieznanym kierunku. Poddano nas strzyżeniu i kąpeli, czekaliśmy na nieznaną dla nas losy. Budynki po poprzednikach były tak bardzo zapluskwione, że całymi tygodniami dezynfekowaliśmy je, by doprowadzić do porządku. Teren i budynki [były] po dawnych mnichach prawosławnych. Prycze były trzypiętrowe i okropnie brudne, po pewnym czasie wyheblowano je i doprowadzono do czystości. Internowanych oficerów nie używano do robót, tylko do czynności wewnętrznych i porządkowych. Do robót używano tylko policjantów.

Wśród wszystkich obecnych w obozie morale [były] dobre, duch patriotyczny wysoki, z małymi wyjątkami osób, które były nam z twarzy znane i których unikaliśmy. Wszyscy mocno wierzyli, że to się wkrótce skończy. Pomoc okazywana w formie wymiany, jakkolwiek zakazana przez władze obozowe, uzupełniała braki i potrzeby codziennego życia. Życie koleżeńskie układało się z wzajemnym zrozumieniem potrzeb kulturalnych. Różne książki polskie przywiezione z Litwy w ukryciu wypożyczano sobie wzajemnie. Biblioteki miejscowe były cicho bojkotowane, jak i tzw. politrucy, ośmieszani w swoich teoriach, lecz w taki sposób, aby nie mogli wywierać represji. Nie dawaliśmy im powodów i żadnych podstaw.

Sposób badania był na wezwanie, po zeznaniu kazali podpisać protokół. Na zapytanie, jaki ustrój jest najlepszy, odpowiedziałem wymijająco, że dla każdego państwa ten ustrój jest najlepszy, który samo posiada, dla Rosjanina komunistyczny, a dla innej narodowości ten, który wybrał naród, tak również i ustrój Stanów Zjednoczonych jest inny niż komunistyczny, a rozwój kulturalny i dobrobyt lepszy niż w innych krajach. Po tym oświadczeniu politruk się przeląkł i przerwał badanie. Od tej pory badany nie byłem, a jak ogólnie koledzy przypuszczali, wszyscy zasądzeni zostaliśmy zaocznie na osiem lat. Po badaniach 40 wysłano na Butyrki do Moskwy, reszta pozostała.

Opieka lekarska: szpitale – jakkolwiek niezupełnie dobre, były zadowalające, gdyż pozostałych w obozie chcieli mieć jako reklamę dobrego obchodzenia się, żeby pokryć nami naszych pięć i pół tysiąca oficerów wywiezionych w nieznanym kierunku. Nazwisk [ofiar] śmiertelnych dokładnie nie pamiętam, udało mi się zapamiętać, że dwóch zwariowało, jeden powiesił się, dwóch zmarło, z których jednym [był] por. Góra.

Zebrania, msze św. [były] zabronione. Dozwolone kino i przegląd polityczny sytuacji światowej, bardzo uczęszczane przez internowanych, bo tą drogą dowiadywaliśmy się, co się dzieje.

Wiadomości z kraju były skąpe, bo listów wszystkich nie doręczano. Doręczano tylko te, które były nieraz tragiczne, rozkoszowali się nimi, myśląc że tym samym przeciągną załamanych na swoją stronę.

Nastąpiło uderzenie Niemców. W obozie ruch i zadowolenie, że znów znajdziemy się najprawdopodobniej w armii. W tydzień po wypowiedzeniu wojny wysłano nas z Kozielska do Griazowca, znów w zamkniętych wagonach z rynienką do załatwiania się, przy jednym otwartym okienku, ale „opiekunowie” już wysłali nas na Północ. W drodze [przyszła]

depesza, żeby zatrzymać [nas] w Griazowcu. Do obozu przybył samolotem z Londynu gen. Szyszko-Bohusz, entuzjastycznie witany. Wszyscy wówczas, 24 sierpnia 1941 r., wstąpili do armii polskiej, aby chlubnie w niej służyć.

Wstąpiłem do 5 Dywizji Piechoty w Tatiszczewie, później w Dżalalabadzie, a 10 lutego 1942 r. wyznaczono [mnie] oficerem żywnościowym Centrum Wyszkolenia Artylerii w Karasie. Warunki pracy [były] straszne, dla wojska należało walczyć o wszystko – o konie, siano, sprzęt, kuchnie, wodę, o opał. Nie było nic. Zaprowadzenie książek i wyszkolenie personelu, pomoc żywnościowa i materialna uchodźcom cywilnym, przy własnym już słabym zdrowiu i wyczerpaniu – wymagały nadludzkiego wysiłku i zaparcia się siebie, żeby nie dać się przypadkiem dotknąć jakąś chorobą, których było mnóstwo: tyfus brzuszny i tyfus plamisty, czerwonka, szkorbut, kurza ślepotą, malaria, papatacz itp. Wtedy przekonałem się, że jestem silny, bo nie dałem się i nie chorowałem, nie przerwałem pracy dla wojska, dla podchorążówki, dla poligonów, gdzie wszystko na czas i na porę musiało być dostarczone. Kurs się skończył. Szkoła opuściła miejsce postoju 14 sierpnia 1942 r., ja zostałem wyznaczony do komisji likwidacyjnej, gdzie w dwa tygodnie żmudnej i wytężonej pracy zakończyliśmy to, cośmy początkowo postawili. Z zestawionym materiałem likwidacyjnym udaliśmy się z majorem do Jangijul, gdzie przekazaliśmy zakończenie likwidacji.

Tutaj spotkałem się z polskim delegatem, który miał podpisaną przez NKWD listę na wyjazd Polaków z jego okręgu, lecz w ostatniej chwili władze sowieckie odmówiły wysłania polskich uchodźców, motywując to brakiem wagonów. Dowództwo armii interweniowało w Taszkencie, lecz bez skutku. Delegat polski został pobity przez miejscowe męty społeczne, a ludność polska dostarczona przez niego [została] aresztowana. Pełniłem służbę oficera inspekcyjnego i w ostatnim momencie przybiega kobiecina, mówiąc: „Wszystko sprzedałam, zmieściłam się, chcę jechać, a wy wyjeżdżacie i pozostawiacie nas na łasce Bożej”. Rzeczy jej były na stacji i poleciłem jej tam wracać, a ta – zamiast jechać do Buchary przeznaczonej dla pozostałej ludności – na własne ryzyko pojechała dalej z rodziną (mężem, synem i córką) do Aszchabadu, gdzie później wyjechała. W Aszchabadzie dziwiono się, że tak mało przyjechało uchodźców. W Jangijul i Taszkencie specjalnie przyznawano tak mały kontyngent wagonów i [nieczytelne], żeby jak największa liczba Polaków pozostała w Rosji. Kto był odważny, jechał wprost na Aszchabad i chociaż go na ogólnej liście nie było, miał możliwość wydostania się poza granice, bo liczba samochodów musiała być wypełniona. Delegata w Jangijul, pana Juboka [?] pozostałego i mającego magazyny wojskowe po odeszłej armii, władze sowieckie tendencyjnie

nie mianowały, żeby mieć pretekst do aresztowania go, zabrania żywności przeznaczonej dla ludności cywilnej dla swego wojska, ludności zaś rozpędzenia. Te wiadomości przyszły do nas do Teheranu od reszty przybyłej ludności.

Z Teheranu wróciłem do swego oddziału, gdzie w dalszym ciągu pełnię funkcję oficera żywnościowego.